**Kongres Obywateli RP  
Oczekiwania. Zmagania z utopią**

**Paweł Kasprzak**

Obywatele RP swój program uchwalili 8 lat temu, w czasach innych niż dziś. Byliśmy pierwszym i – śmiem twierdzić – jak dotąd jedynym z ówczesnych ruchów obywatelskiego protestu, którzy sformułowali program w politycznych kategoriach. W etycznych deklaracjach wychodziliśmy od podstawowej konstytucyjnej wartości praw człowieka i obywatela. Postulat polityczny, mającym dla nas wartość ustrojową, ale jednocześnie zalety skutecznej strategii, wynikał z przekonania, że każda mniejszość – polityczna, seksualna, etniczna, religijna – może skutecznie egzekwować należne jej prawa, niezależnie od tego, czy musi w tym celu walczyć z władzą i sprzeciwiać się większości współobywateli. Etos i strategia obywatelskiego nieposłuszeństwa, które wyznaczyły naszą identyfikację wśród innych ruchów i środowisk, wynikały właśnie z tego myślenia o „sile bezsilnych” definiowanej na nowo. Śmiem sądzić, że w tej sprawie zdołaliśmy dać kilka dowodów skuteczności. Śmiem zatem twierdzić np., że prowadzone przez nas akcje obywatelskiego nieposłuszeństwa miały istotny wpływ na ową bezprecedensową w całej historii III RP niezawisłość sądów, z którą mieliśmy do czynienia w ciągu obu kadencji PiS i która, jeśli dziś budzi nadzieje trwałości, to właśnie z tego powodu, że wraz z sędziami ukształtowali ją ludzie, a nie prawo ustanowione głosami jakiejś rządzącej lub *ad hoc* skleconej parlamentarnej większości. Realizowało to w jakimś stopniu kolejny z naszych ustrojowych postulatów – ten o rozproszonej kontroli konstytucyjności. Zarówno programowe myślenie, jak własną strategię podporządkowywaliśmy przy tym zasadzie, że wszystkie strzeżone przez konstytucję wolności należą się w równym stopniu także naszym politycznym przeciwnikom. Unikaliśmy więc działań, których nie akceptowalibyśmy, gdyby zwracano je kiedykolwiek przeciw nam. W tym przede wszystkim sensie byliśmy zawsze ruchem rzeczywiście politycznie bezstronnym, choć w politykę usiłowaliśmy się angażować, jak tylko potrafiliśmy. W politykę, polegającą nie na przedstawianiu postulatów rządzącym lub aspirującym do władzy, ale na zmianie dokonywanej siłą społecznych faktów dokonanych. To samo myślenie chciałbym zaproponować również dziś.

**Utopia, którą proponuję**

Programowe uchwały, które sam chcę dziś zaproponować Obywatelom RP, w całości wywodzą się z tamtego naszego programu, choć chcę spróbować osadzić je w dzisiejszej perspektywie oraz w wyborczym kontekście. Dotyczy to kierunków, celów i strategii działania.

1. Nadal uważam, że celem najogólniejszym powinny być nie prawa człowieka, choć one są dla nas aksjologicznie najcenniejsze, ale coś innego i potencjalnie szerzej zrozumiałego również po drugiej stronie frontu polskiej wojny. Chodzi o taką przebudowę demokratycznej polityki, która jak najbardziej trwale odetnie istniejące realnie korzenie populistycznej rewolty, a poważna część z nich tkwi głęboko w ustroju Rzeczypospolitej – w naszym przekonaniu zużytym i niewiarygodnym w swych demokratycznych obietnicach, co zresztą jest zjawiskiem globalnym, a nie charakterystycznie polskim. We własnym programie uwagę zwracaliśmy zwłaszcza na trzy rzeczy:
   1. Patologicznie wodzowski ustrój partii politycznych, który w połączeniu z systemem wyborczym, poprzez „miejsca biorące” efektywnie wyklucza realny wybór obywateli, zamieniając równocześnie partyjną politykę w feudalny wręcz system z suwerenami rozdającymi lenna wiernym uczestnikom własnych drużyn. Nadal uważam to za jeden z niezbędnych „bezpieczników demokracji” – niedoceniany, a potencjalnie jeden ze skuteczniejszych. Zasadę, że o władzę w demokratycznym państwie nie wolno ubiegać się partiom nie spełniającym podstawowych demokratycznych standardów we własnym funkcjonowaniu, uważam za cenną samą w sobie. W niedawnej polskiej historii złożyło się natomiast tak, że jedna z wodzowskich partii dokonała zamachu po tym, jak inna wodzowska partia do reszty skompromitowała wiarygodność instytucji demokracji. Zamach na Trybunał Konstytucyjny byłby wciąż możliwy również ze strony partii wewnętrznie demokratycznej, ale zdecydowanie trudniejszy, gdyby musiał być planowany i podejmowany w otwartej, demokratycznej dyskusji. Ten bezpiecznik byłby skuteczny dlatego, że działałby z wyprzedzeniem, efektywnie wykluczając szalonych autokratów z możliwości marszu po władzę. Proponowane przez nas prawybory byłyby – obok strategicznej wartości – także istotnym krokiem w stronę faktycznej demokratyzacji partyjnej polityki.
   2. Brak pełnego trójpodziału władzy, zatem nie tylko gwarancji niezawisłości sądów i trybunałów, ale także rzeczywistej kontroli władzy wykonawczej przez ustawodawcą, czego w historii III RP nie widzieliśmy niemal nigdy. Sejm ustawodawczy wyłania rząd spośród swej większości, konflikt interesów jest tu oczywisty i potęgowany do absurdalnych rozmiarów praktyką, w której posłowie są równocześnie ministrami. Powoduje to słuszne przecież przekonanie, ujawniane w bardzo wielu badaniach, że Sejm nie jest reprezentacją rządzonych, stanowiącą prawo ograniczające rządzących, że jest zamiast tego emanacją rządzącej większości, reprezentującą wyłącznie „klasę polityczną”, a opozycja reprezentuje w nim nie „głos ludu”, ale zaledwie polityków aspirujących do władzy. Polityka uprawiana w Sejmie jest więc w oczach obywateli wyłącznie grą o władzę i jej przywileje, a nie rozwiązywaniem problemów, które ich dotyczą. Obywatele ponoszą – w uzasadnienie rozpowszechnionej opinii – wyłącznie koszty politycznych wojen. To najpoważniejszy przejaw braku rzeczywistej wiarygodności zarówno demokratycznych instytucji państwa, jak i polityki samej w sobie. Istnieje całe spektrum możliwych rozwiązań tego ustrojowego problemu, poczynając od korekt w rodzaju zwiększenia kompetencji Senatu i zmiany jego kadencji, a być może także sposobu wyboru, a kończąc na ustroju prezydenckim (popieranym kiedyś przez prawicę przed zbojkotowanym przez nią referendum konstytucyjnym). Obywatele RP nigdy nie opowiadali się za żadnym z takich rozwiązań – twierdziliśmy jedynie, że rozwiązanie jest konieczne, a głos w tej sprawie musi należeć przede wszystkim do obywateli, a nie rządzących polityków, że nigdy w III RP nie mieliśmy okazji rzeczywiście zdecydować o najbardziej podstawowych normach ustroju własnego państwa i że jest to jedna z pierwotnych przyczyn ciężkiej choroby systemu.
   3. Rozproszoną kontrolę konstytucyjności prawa, rozciągniętą nie tylko na polityczne represje władz i konflikty obywateli ze służbami państwa w tego rodzaju kontekstach, ale na całość relacji państwo-obywatel, również w szkolnictwie, ochronie zdrowia, polityce społecznej i w każdym urzędzie państwowej władzy i administracji.
2. Nadal uważam również, że rozbrojenia wymaga cały szereg problemów zapalnych, jak aborcja, rola Kościoła, prawa osób LGBT, „polityka bezpieczeństwa” i zwłaszcza owa „konieczność” prowadzenia jej kosztem ludzkich i obywatelskich praw, nawet obowiązek szczepień, wiek emerytalny i system ubezpieczeń, szkolnictwo. Niektóre z nich naszym zdaniem domagają się regulacji wyższych niż ustawowe, zwłaszcza kiedy dotyczą podstawowych praw człowieka i jako takie muszą być odporne na zmienne koniunktury polityczne, a dotyczy to np. aborcji. Wszystkie z nich natomiast są użyteczną bronią, zawsze chętnie wykorzystywaną w politycznych wojnach, rozsadzających państwo. Rozstrzygnięcia – uważaliśmy i nadal tak sądzę – powinniśmy odebrać politykom i zdecydować jako obywatele, politykom każąc tych rozstrzygnięć po prostu bezwzględnie przestrzegać.
3. Sądzę zatem, że celem najbliższych wyborów powinna być aż tak głęboko pomyślana reforma i być może Konstytuanta, albo Sejm Wielki, jak to kiedyś nazwał Adam Szłapka. Sejmowa większość konstytucyjna – skądinąd według mnie krytycznie potrzebna, jeśli nawet niekoniecznie formalnie, jak w kwestii ustroju sądownictwa, co jest jedną z wielu spraw wymagających silnego, niekwestionowanego mandatu ze względu na wagę oraz poziom społecznych emocji – nie jest osiągalna w żadnej dającej się pomyśleć perspektywie wyborów, do jakich przywykliśmy. Nigdy tej większości nie będzie, póki nie zmienimy czegoś istotnego. Śmiem twierdzić, że większość konstytucyjna byłaby możliwa przy zmianie myślenia o wyborach i przy istotnej zmianie celów oraz konstrukcji list wyborczych. Zupełnie niezależnie od bieżących, często pesymistycznych sondaży poparcia.
4. Uważam zatem, że w najbliższych wyborach powinniśmy domagać się i – nie stroniąc od wywierania rozmaitego rodzaju presji, nie bojąc się również konfliktów „osłabiających jedność demokratów” – realnie działać na rzecz:
   1. Wspólnej listy demokratów;
   2. Silnego udziału w niej środowisk obywatelskich – nie po to, by rządziły, ale by w jak największym zakresie decydowały o podstawowych normach polityki i były gwarantem *fair play*;
   3. Otwartych prawyborów jako jedynego uczciwego, efektywnego i mobilizującego sposobu kształtowania tych list, stanowiącego równocześnie obietnicę wyborczą realizowaną przed wyborami, a zatem wiarygodną;
   4. Wyraźnego określenia, że potrzeba zasadniczej, głębokiej reformy państwa – potrzeba, a nie kształt tej reformy, bo tu decyzja zapaść powinna z udziałem obywateli m.in. w nowym Sejmie – jest jedynym możliwym, rzeczywiście spajającym celem różnych demokratycznych partii i środowisk.
5. Obywatelska, losowana i reprezentatywna Trzecia Izba powinna być dla nas zarówno konstytucyjnym(?) celem, jak i narzędziem zmiany, tworząc i artykułując rzeczywistą opinię publiczną skonfrontowaną z opinią polityków uwikłanych w partyjne wojny. Trzecią Izbę powinniśmy moim zdaniem próbować powołać w kilku istotnych sprawach (sprawdziwszy jej rzeczywistą reprezentatywność i wydolność w sprawach różnego rodzaju i wagi), żądając od przyszłego Sejmu uznania rezultatów jej obrad. Wreszcie to właśnie Trzecia Izba mogłaby pokazać możliwość większości konstytucyjnej.
6. Siłę takiego ruchu widzieliśmy (i nadal ją tak widzę) również w szansie na koniec polskiej wojny, którą on tworzy. Nie poprzez „nakrycie czapkami” przeciwników w głosowaniu, ale poprzez specyficznie pojęty konsensus. Sprawdzaliśmy go wielokrotnie w konfrontacji ze smoleńskim twardym trzonem pisowskiego „ciemnogrodu”, skutecznie oduczając ich np. homofobicznych bluzgów, wywołując szacunek dla naszych własnych praw, rozumienie znaczenia obywatelskich wolności, w tym nawet także aborcyjnych praw kobiet. Porozumienie dotyczące dopuszczalności aborcji oczywiście nie jest z nimi możliwe, choć możliwą wydaje się zgoda co do tego, że zakaz nie wystarcza, by aborcje zniknęły i jeśli tego właśnie chcemy, to zakaz jest złym, a nie dobrym rozwiązaniem. Ale przede wszystkim zaskakująco łatwo godzimy się, że decyzje w tych sprawach nie należą do polityków i że należy je podjąć – podobnie zresztą jak wszystkie decyzje konstytucyjne – z udziałem wszystkich rządzonych. I że to oni powinni poprzez nie wyznaczyć nieprzekraczalne granice rządzącym. Konsensus stosunkowo łatwo mógłby zatem dotyczyć trybu podejmowanych decyzji, a nie ich treści i chciałbym bardzo podkreślić znaczenie tego spostrzeżenia. Nie mam tu oczywiście dowodów, a jedynie długą listę anegdotycznych raczej przykładów, ale taka perswazja w naszym doświadczeniu okazywała się zawsze możliwa, pod warunkiem znalezienia medium i przestrzeni rozmowy, co zawsze było najtrudniejsze. Trzecia Izba byłaby tu jedną z ważniejszych możliwości. To tam najprędzej polską wojnę dałoby się przezwyciężyć i zakończyć.

Odlot, prawda? „Oni się na to nigdy nie zgodzą”. No, dobrze o tym wiem – prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek obecny na kongresie. Spisując te notatki, mam pełną świadomość, że wielokrotnie już występowaliśmy z tak pomyślanym programem i propozycjami, że nawet w okresie 5 minut naszej sławy kończyło się to nieodmiennie porażką. Obywateli RP kosztowało to przy tym sporo – w dużym stopniu to właśnie z powodu takiego „mieszania się w politykę” albo „antypartyjnego populizmu” nasze własne szeregi wykruszyły się bardzo znacznie, choć wszystkie te uchwały staraliśmy się przyjąć i rzeczywiście przyjmowaliśmy konsensualnie. Mieliśmy – i nadal mamy – opinię awanturników, „pożytecznych idiotów” lub wręcz świadomych „agentów PiS”. Myślę więc o gościach naszego kongresu ze sporym zmieszaniem – czy to wypada tak próbować ich wciągać w jakąś naszą kolejną awanturę i nieprzytomne bajania o utopiach? A przecież chciałbym ich prosić o współdziałanie i chociaż solidarność. Mam jednak również inny, bardzo istotny powód, by liczyć na ich obecność i krytyczne oceny.

Spośród wymienionych tu rzeczy i spraw tylko w „rozproszonej kontroli konstytucyjności” zdołaliśmy osiągnąć cokolwiek. Da się dziś powiedzieć, że cały ten pomyślany 8 lat temu program pozostaje wciąż aktualny, bo wszystkie nasze postulaty pozostają niezrealizowane. Albo – jak kto woli – całkowicie się zdezaktualizował, skoro nie udało się nam nawet swoich tez, postulatów i propozycji zakorzenić w społecznej świadomości. Sami nie ustalimy, jak jest naprawdę. Czy nasze propozycje są aktualne i czy mają sens, czy jest przeciwnie, skoro doświadczenie dowodzi, że sensu nie mają właśnie żadnego, a ponowne próby wejścia do tej samej rzeki nie świadczą dobrze o naszych, moich na przykład, intelektualnych kwalifikacjach. To właśnie do odpowiedzi na to pytanie jak powietrza potrzebujemy spojrzenia z perspektywy innej niż nasza. Odpowiedź gości ma więc dla nas rozstrzygające znaczenie. Jeśli ktoś zatem nie chce naszego „awanturnictwa”, ma nam je szansę wyperswadować lub od naszych szaleństw się zdystansować. Być może oznaczałoby to dla nas konieczność „wyprowadzenia sztandaru” w logicznej konsekwencji tego stanu rzeczy.

Wypada też jednak przy tej okazji zwrócić uwagę, że nie tylko nasz program okazuje się aktualny lub właśnie nieaktualny i stoją za tym podobne kontrowersje. Niespełnione są w rzeczywistości wszystkie największe postulaty ruchu obywatelskiego protestu, choć on był największym ze znanych w całej historii III RP i wszyscy w nim uczestniczyliśmy. Po części jest to wynik ustrojowych niemożności – w tym np. obstrukcji ze strony prezydenta. I choć to ma wszystkie szanse zniknąć, kiedy się spotkamy na kongresie, a będzie już po prezydenckich wyborach, to przecież dobrze wiemy, że zmiany nie ruszą z kopyta, że w polityce nadal obowiązywać będzie moda na coraz dalej idące koncesje na rzecz skrajnej prawicy, że części ustrojowych przeszkód przezwyciężyć łatwo się nie da, a części przezwyciężać nikt nie zechce. Po co komu na przykład działający i niezależny Trybunał Konstytucyjny, który z pewnością musiałby natychmiast zakwestionować całą naszą „politykę bezpieczeństwa” na granicy? Wiemy, że nie ma w Sejmie większości dla postulatu legalnej aborcji, nie ma politycznej zgody na europejski Zielony Ład, nie ma woli prawdziwej reformy szkoły, zarobki nauczycieli to nadal katastrofa, Telewizja Polska prawdopodobnie nadal pozostanie w likwidacji, a kiedyś nowa władza po prostu ustanowi likwidatorów własnych, tym razem bez konieczności popełniania konstytucyjnych deliktów. Zmienią się dyrektywy dla wciąż politycznie usłużnej policji, skoro powiedziano nam wyraźnie, że „wykonujących rozkazy” policjantów nikt nie zamierza karać. Itd.

Wiemy więc, że nie tylko dla nas pytania o podstawowe cele są kwestią być albo nie być. Nadal sądzimy, że te cele to nie marzycielstwo pięknoduchów, ale kwestia przetrwania państwa pod naporem populizmu, że zatem zasadnicze zmiany są po prostu egzystencjalną koniecznością. Jak to dawno temu napisano w ocenianym jako lewacki, a w rzeczywistości głęboko humanistycznym manifeście SDS z Port Huron, cytującym obok Sartre’a również papieskie encykliki:

„Jeśli wydajemy się dążyć do niemożliwego, niech będzie jasne, że czynimy to, by uniknąć niewyobrażalnego”.

Ani konieczność, ani tym bardziej zgrabne sformułowania oczywiście wciąż nie oznaczają możliwości. Wiemy, że polityka, jaką znamy, jest dla takich zmian przeszkodą. To głównie z jej powodu każdy pomysł w rodzaju wyżej opisanego wydaje się utopią – jak kiedyś utopią okazał się drobny i pragmatyczny w intencji postulat wspólnej listy wyborczej demokratów, choć nie tylko nam wydawał się on oczywisty i prosty.

**Paradoksy utopii koniecznych i realizowanych**

Mówiąc zupełnie otwarcie, nie rozumiem, dlaczego myśl o wspólnej liście idącej po konstytucyjny Sejm Wielki, by się trzymać dobrego określenia Szłapki, ma być mniej realna od któregokolwiek z wyborczych „sześciopaków” czy „list konkretów”. Widząc je, większość z nas przecież nawet się nie zastanawia – jak zastanawialiśmy się kiedyś – skąd na to pieniądze i czy coś takiego ma sens. Oceniamy już tylko wyobrażoną PR-ową przydatność wyborczych sloganów, zakładając tym samym milcząco, że inni wyborcy to masa ulegająca czczym obietnicom i nie dopuszczając do siebie nawet przez chwilę, że być może większość z tej masy myśli w gruncie rzeczy podobnie o nas. Świadomie lub nieświadomie godzimy się w ten sposób na politykę PR-owego prania mózgów, wierząc w „dobre kłamstwo” jak kiedyś Platon, choć dziś kłamią zdecydowanie nie filozofowie w randze królów, a raczej mniej lub bardziej cwani kuglarze.

W świetle niedawnych sondaży i niemal pewnego spadku frekwencji w stosunku do ostatnich wyborów parlamentarnych, przyszłość obecnie rządzącej koalicji staje pod znakiem zapytania. To czysto pragmatyczny powód, by poważnie pomyśleć i o wspólnej liście, i o tym, jak niewiele może ją w rzeczywistości spajać poza samą potrzebą zbudowania solidnych podstaw demokracji – bo przecież już konkretne ustrojowe rozwiązania z całą pewnością wywołałyby spory. Takimi sporami demokracja się żywi – nie jednością i dyscypliną, która jakże często brunatnieje. Programowy spór między sojusznikami jest w demokracji zaletą, nie zagrożeniem. W wyborach, w których o demokrację chodzi, również.

Gdyby partie Koalicji 15 października wystąpiły ze wspólną listą, gdyby jej reguły były czytelne i wiarygodne, gdyby stał za nią ruch na rzecz prawdziwej reformy dokonywanej głosami obywateli, których ta reforma dotyczy i którym ma służyć, wtedy niemal na pewno weto Dudy byłoby do przełamania, a większość konstytucyjna – przynajmniej wyobrażalna. Gdyby o składzie wspólnej listy decydowali wyborcy, a nie targi partyjnych sztabów za zamkniętymi drzwiami i rzekome porozumienie osiągnięte w ich wyniku, uczynilibyśmy równocześnie istotny krok w stronę demokratyzacji partii, zrywając tę podstawową więź parlamentarzysty z partyjną centralą, którą jest rozdawanie miejsc biorących, przesądzających o uzyskaniu mandatu, a w ślad za tym również pozycji w partyjnych władzach. Proszę, byśmy przestali powtarzać „oni się na to nigdy nie zgodzą”, bo to jest jasne w każdej istotnej sprawie, zwłaszcza ustrojowej – i byśmy zamiast tego pomyśleli, jak wystawić „im” taki rachunek zysków i strat, który do zgody by ich skłonił. Przecież istotą demokracji powinno być, że to „oni” potrzebują „naszej” zgody. Czy naprawdę tę myśl tak trudno „sprzedać opinii publicznej”? Czy teksty o tym na pewno „nie będą się klikać”? Nie wierzę.

To zadanie wydaje mi się – serio – zdecydowanie bardziej realistyczne niż karkołomne konstrukcje list konkretów obiecywanych przez partie władzy znanej głównie właśnie z niedotrzymanych obietnic i zawiedzionych wielkich nadziei.

Nie tyle chcę tu przekonywać do akurat takiego scenariusza na kampanię, która już niebawem się zacznie (jak kania dżdżu wyglądam innych propozycji), co raczej do myślenia w tego rodzaju kategoriach. W perspektywie nadchodzących wyborów parlamentarnych – a znów będzie to „walka o wszystko” – chcę przede wszystkim błagać: nie poprzestawajmy na „działaniach profrekwencyjnych”, choć one wydają się tak naturalne i bezpieczne dla ruchów i organizacji pozarządowych.

Poza wszystkim, to przecież czytelne oszustwo. Nikt się nie nabierze, że apelując o frekwencję ktokolwiek z nas oczekiwał również mobilizacji wyborców Nawrockiego czy Mentzena, albo chociaż naprawdę liczył na swobodny wybór pomiędzy np. Trzaskowskim a Hołownią. Na kongresie spotkamy się m.in. z niektórymi uczestnikami nieudanych prób myślenia o prawdziwie niezależnej prezydenckiej kandydaturze obywatelskiej, cokolwiek i kogokolwiek miałoby to oznaczać. Nie znaleźliśmy w sobie sił nawet do tego, by przeprowadzić rzetelną procedurę publicznych wysłuchań kandydatów partyjnych. Nasze na pozór oczywiście słuszne i oczywiście bezstronne nawoływanie o frekwencję, było w rzeczywistości mobilizacją naszej części spolaryzowanego społeczeństwa do politycznej wojny – czymś, co tylko utrwalało polaryzację, wojenny język i siłę tego politycznego szantażu, w którym tkwimy od dekad i który uniemożliwia rzeczywisty polityczny wybór.

Potrzeba tego typu myślenia i działania staje się tym bardziej pilna i tym bardziej konieczna, im mniej realne to się wydaje – bo właśnie na tym polega kryzys, że nic już nie wydaje się możliwe. To tylko jedno ze sformułowań paradoksu o konieczności utopii.

Dla Obywateli RP – choć nie z tego jesteśmy znani – realizm postulatów ma i zawsze miał przesądzające znaczenie. Nigdy nie chcieliśmy i chyba nadal nie chcemy opowiadać tylko, jakiego państwa chcemy – chcieliśmy za to po prostu działać na jego rzecz, powodując lub wymuszając realne zmiany. Tu i teraz, nie po wyborach, które wygrają „nasi” i łaskawie nadadzą nam prawa, wysłuchując naszych suplikacji wygłaszanych u progu pośród lękliwego mięcia trzymanych w dłoniach czapek. Z ważnej dla nas zasady podejmowaliśmy więc wyłącznie te działania, które miały naszym zdaniem przynajmniej jakąś szansę powodzenia. Np. pisowską ustawę o zgromadzeniach publicznych bojkotowaliśmy (i bojkotujemy, bo ona wciąż obowiązuje!) nie tylko z powodu etycznego imperatywu, ale i w przekonaniu – słusznym, dowiedliśmy tego – że bojkot w końcu unieważni pisowski zakaz wybranych przez władzę zgromadzeń. Ta zasada była dla nas tym ważniejsza, że proponowaliśmy często działania w różnym stopniu ryzykowne – nie śmielibyśmy namawiać do nich nikogo, nie wierząc, że szansa sukcesu istnieje. Dziś ryzyko podobno przestało istnieć, choć np. wyroki aktywistów Ostatniego Pokolenia – ostrzejsze niż nasze – o tym nie świadczą. Ryzyko dzisiaj jest na ogół inne i chyba większe – nie grzywny i areszty, ale ostracyzm i oskarżenia o zdradę są tym, co przede wszystkim nas dziś spotyka, a aktywiści z białoruskiej granicy i uczestnicy Ostatniego Pokolenia doświadczają również tego i jest to dla nich prawdopodobnie boleśniejsze niż represje władzy. I skoro o tych sprawach mowa – jedno z możliwych sformułowań tych pytań zasadniczych, które sobie dzisiaj próbujemy stawiać, to pomocnicze pytanie, jak w rzeczywistości polityki, którą znamy, spełnić postulaty dotyczące klimatu i elementarnego poszanowania praw człowieka. I zresztą każdy inny postulat niedawnego ruchu protestu. My próbujemy pikiet i kompletnie nieudanych akcji nieposłuszeństwa, Ostatnie Pokolenie blokad, ludzie na pograniczu realnej pomocy, organizacje kobiece agitacji. Organizacje pozarządowe ślą raporty i oceny, uczestniczą w niekończącym się pozorze konsultacji. Żadne z tych działań nie posuwa żadnej sprawy naprzód. W moim przekonaniu – i to była treść programu Obywateli RP – nie da się tego zrobić bez zasadniczej zmiany pojmowania polityki i próby odbudowy jej fundamentów.

Jeśli natomiast każda tak zasadnicza zmiana wydaje się dziś utopią, to jesteśmy w tej paradoksalnej sytuacji, w której to właśnie realizm każe marzyć o utopii. Przecież władzę już podobno mamy. A postulaty wciąż pozostają tylko postulatami, a nawet mniej – pozwoliliśmy, by stały się one hasłami w kolejnych listach „konkretów” do załatwienia po kolejnych wyborach „o wszystko”. Trwanie *status quo* oznacza natomiast upadek wiarygodności i w konsekwencji pewną recydywę PiS lub ich następców. Realizm wymaga dopuszczenia do siebie tej pewności i wyciągnięcia wniosków. Być może wnioskiem jest emigrować, jeśli nic się udać nie może. Wątpię jednak, byśmy zdołali znaleźć dla siebie miejsce naprawdę wolne od zagrożeń.

Polityką rządzą kadencje i myśl o następnych wyborach. Zwłaszcza przy wciąż postępującej tabloidyzacji kampanii wyborczych oznaczać to musi zasadniczą niemożność rozwiązania najważniejszych i najtrudniejszych kwestii. Przykładem jest choćby klimat, transformacja energetyczna i inne związane z tym zagadnienia. Rozwiązania muszą tu być oczywiście trwalsze niż kadencje politycznych władz. Ale przede wszystkim wymagają odpowiedzialności za decyzje, o których nie da się mówić w wyborczym konkursie wiecowej popularności. Żaden burmistrz nadmorskiego kurortu nie przyzna u progu kolejnej kampanii wyborczej, że w wodach grasuje groźny rekin ludojad. Każdy polityk dzisiejszego chowu – czy jest wytrawnym Donaldem Tuskiem, czy prymitywnym Donaldem Trumpem – zawsze powie „nie patrzcie w górę”, jeśli wie, że zobaczymy tam nadciągającą asteroidę niosącą zagładę. Ta systemowa wada wyborczej demokracji przedstawicielskiej nabiera przesądzająco krytycznego charakteru. Jeśli z kolei jest przy tym prawdą, że wyborcy głosują zgodnie z własnym bezpośrednim interesem (na szczęście niezupełnie tak jest, choć często tego byśmy chcieli, oczekując od wyborców przynajmniej jakiejś racjonalnej przewidywalności), to z kolei o kryzysie demokracji przedstawicielskiej przesądzi demografia. Większością stają się seniorzy. Jeśli zagłosują patrząc w portfele, państwo przeznaczy budżetowe środki na świadczenia emerytalne i ochronę zdrowia kosztem inwestycji w naukę i edukację oraz w rozwój – i stanie się to wbrew interesom pracującej na to wszystko mniejszości wciąż zawodowo czynnej i zainteresowanej bardziej przedszkolami niż szpitalami. To jak z wilkami i owcą decydującymi („przez przedstawicieli lub bezpośrednio”), kto ma zostać zjedzony. Oba systemowe powody silnie przemawiają za koniecznością wolnej od kadencyjnej konkurencji politycznej losowej reprezentacji na wzór amerykańskich ław przysięgłych, losowanych zgromadzeń ateńskich czy weneckich, irlandzkiego Zgromadzenia Obywatelskiego skutecznie rozwiązującego kwestię aborcji, wreszcie „paneli obywatelskich” (nie lubię tej nazwy jako kojarzącej się z nudnymi i niewiele zmieniającymi konsultacjami bez mocy stanowiącej) wypróbowywanych tu i ówdzie nieśmiało. Przemawiają zatem za czymś, co wydaje się nam utopią w przaśnej rzeczywistości znanej nam polskiej polityki.

\*

Są wśród nas optymiści i pesymiści. Inaczej zwani idealistami i realistami. Jedni podejmują decyzje, widząc przede wszystkim wartość wygranej, a nie ryzyko porażki. Drudzy kalkulują wyłącznie szanse i ryzyka. Prawo wielkich liczb w stosownie ogromnej większości przypadków potwierdzi racje tych drugich. Historia posuwa się naprzód dzięki tym pierwszym, choć często to ci drudzy zapobiegają katastrofom. W kryzysowych sytuacjach do głosu dochodzą jednak przede wszystkim groźne konieczności, które ten odwieczny spór unieważniają. W tych sytuacjach trzeba realizować utopie. W tych sytuacjach idealizm jest pierwszą potrzebą realistów.

Cytowałem wyżej zdanie o tym, że trzeba chcieć niemożliwego, próbując uniknąć niewyobrażalnego. To część kultury ruchu kontestacji lat 60. i 70. ubiegłego stulecia i z premedytacją użyłem akurat tego przykładu. Ten ruch w wielu różnych miejscach całego cywilizowanego świata przybierał postać rewolty lub rewolucji. Politycznie wszędzie przegrał, zresztą niemal nigdzie nawet nie próbował politycznego zwycięstwa. Żadna wieszczona wówczas katastrofa nie nastąpiła. Ale w rzeczywistości ówczesny bunt młodych przeorał kulturę i politykę głębiej i skuteczniej niż udało się to jakimkolwiek reformom i politycznym zmianom. Nie wiemy, co trwanie starego porządku przyniosłoby np. ówczesnej Ameryce z jej śmiertelnymi ofiarami segregacji, z politycznymi mordami na prezydencie, na kandydującym pewniaku, na społecznych przywódcach, z brunatnym Maccartyzmem, polityczno-mafijną korupcją, potęgą wojennych i zbrojeniowych lobby. To jeden z bardzo wielu przykładów pokazujących, że warto chcieć niemożliwego i że zawsze coś z rzeczy niemożliwych się wtedy udaje.

Po wszystkim, co tu już napisałem swoim zwyczajem w nadmiarze, warto wspomnieć o jednym, być może najważniejszym. Każdy z nas – pragmatyk czy idealista, organicznik czy buntowniczy rewolucjonista – wszyscy, którzy się spotkamy na kongresie, wiemy, że do życia trzeba nam idei i poczucia sensu. Że tylko idee zmieniają nas samych i świat wokół nas. Że są pierwszą potrzebą człowieka, a nie tylko i nie przede wszystkim naszą. Obywatele RP zawsze próbowali z siebie takie idee wykrzesać i zaproponować innym. Idee oraz sens. Tego chciałbym wspólnie poszukać, kiedy się spotkamy. Idei, która da sens. Jestem przekonany, że każdy początek musi być właśnie taki. Chyba, że jesteśmy przy końcu, nie u początku. Gdzie jesteśmy?

Paweł Kasprzak  
(nieprzypadkowo) 3 maja 2025